



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



W Niedzielę Palmową.



Jeruzolima wrzała tysięcznymi głosy, po ulicach snuły się tłumy ludzi; starzy i młodzi, kobiety i dzieci z zaciekawieniem wybiegali z domów. Najciaśniejsze zaułki opustoszały, kto tylko żył podążał ku bramie Jerozolimskiej.

Chromi, porażeni i wszyscy, którzy o swojej sile iść nie mogli, wyciągali ręce, błagając, ażeby ich do bramy wniesiono, wołając:

— Stanie się tam coś nadzwyczajnego, czego oczy nasze drugi raz oglądać nie będą, czemuż pozbawiać nas onego widoku? — powiadali.

A ci, którzy przykuci do łoża, dźwignąć się z niego nie mogli, pytali:

— Któż tam przybywa, Cezar z Rzymu, czy mocarz jaki ze Wschodu, jeżeli ludzie rzucają dom i biegną, żeby mu hołd oddać..

Inni zaś mówili:

— Rozrzuca zapewne wielkie bogactwa, jeżeli każdy, choćby najpilniejszy w robocie, zostawia dobytek i bieży, żeby się przybywającemu pokłonić.

A młodzieńcy, wyszedłszy ze szkoły, szepotali:

— Opowiada On nową naukę, wartoby jej posłuchać, może nam objawi co nowego, nie



to, cośmy już po sto razy słyszeli.

— Mówi podobno tak pięknie, że nie sto razy lecz całe życie słuchałby się chciało — rzekł z zapalem młodzieniec, imieniem Nataniel.

— To dopiero wzbudzi zazdrość między naszymi mędrkami i w całym Sanhedrynie *) — dorzucił inny. Wydał wargi niechętnie i wskazał na jednego z owych mędrców, który zmarszczywszy gniewnie czoło, przeciskał się przez tłum, zalegający ulicę.

— Niema co tak się tłoczyć, nadjedzie chyba jutro — dał się słyszeć głos jakiś.

— Co? kto? dla czego? — posypały się ze wszech stron pytania.

— Jest teraz dopiero w Jerycho; wstąpił do Zacheusza.

— Co? Do Zacheusza, do tego chciwego celnika? — przerwano mówiącemu.

— Skąd wiesz? Nie rozsiewaj takich plotek! — krzyknął Nataniel, zatrzymując mówiącego za ramię.

— Ach, Natanielu i mnie to tak samo zabolało, a jednakże tak jest, bom sam na własne oczy widział.

— Ty, Tobie, poszedłeś?... — spytał Nataniel, topiąc wzrok przejmujący w twarzy mówiącego.

*) Rada najwyższa.

— Tak, tak, wybiegłem naprzeciw Niego; jakaś siła pchała mnie ku Jerycho, i oto co ujrzałem...

— Opowiadaj, opowiadaj! — zawołali młodzieńcy, otaczając kołem Tobiego.

A Tobie mówił:

— Ten kusy Zacheusz, który zaledwie wzrostem dorównał dziesięcioletniemu chłopcu a chciwością całemu Sanhedrynowi!..

— Cicho, cicho! — ostrzegali inni, oglądając się, czy jaki członek owej rady nie przechodzi. — Jeszcze im kto doniesie — szepnął ktoś z życzliwych Tobiemu.

Lecz Tobie uśmiechnął się i mówił dalej:

— Więc ów Zacheusz, chcąc oczekiwanego zobaczyć, wdrapał się na drzewo figowe.

— Śliczna mi figa!

— Możliwy się nią otruć.

— Szyszka dzikiej pinii, trzeba ją było strząsnąć.

Posypały się ze wszech stron żarciki na nie lubianego i pogardzanego celnika.

— Otóż nikt tego nie uczynił, bo żadnego z was nie było — mówił Tobie poważnie. — Galilejczyk zaś wskazawszy na drzwi Zacheusza, rzekł doń wielkim głosem: „Zejdź, pośpiesz do domu u ciebie odpocząć pragnę.”

— U Zacheusza, u takiego grzesznika! — zawołano z oburzeniem.

— Nie mógłże znaleźć zaniejszego domu, gdzieby mu wspanialszą niż u Zacheusza gościnę przygotowano — szepnął z niechęcią jeden z bogatszych obywateli Jerycha, który się w owej chwili w Jerozolimie znajdował i zniechęca przysłuchiwał rozmowie.

Lecz Tobie nie zwracał uwagi na te wykrzykniki i dalej opowiadał:

— Gdy Galilejczyk przyszedł, Zacheusz padł mu do nóg i wołał:

— Panie, połowę dóbr moich oddam ubogim, a jeżeli kogo skrzywdziłem w czwórnasób wrócę.

Galilejczyk zaś podniósł rękę i rzekł:

— „Stanie się zbawienie temu domowi.” *)

Starszyzna, która zdala przysłuchiwała się opowiadaniu Tobiego, podniosła szmer niezadowolenia.

— Ten młodzik oto coś opowiada, czego nawet nam ludziom dojrzałym a prawym słuchać nie przystoi.

I z wielkim oburzeniem odeszli, zabierając kogo im się dało z oczekujących.

Szemrali też coś pocichu między sobą, a z ich giestów, wyciągania rąk przed siebie, spuszczenia i zarzucania poły płaszcza na ramię, znać było, iż wzburzenie w ich umysłach panuje.

Na placach wszakże lud pozostał w oczekiwaniu, a dookoła Tobiego cisnęła się garstka ciekawych.

Była to młodzież, ubodzy mieszkańcy miasta i garstka niewiast. Słowem ci, których serca drżały jakimś nienasyconym oczekiwaniem, pragnieniem nauki Mistrza, o którym oddawna dochodziły ich wieści.

Tobie zaś mówił dalej:

— Udało mi się wcisnąć do przedsionka domu Zacheuszowego, widziałem, jak ten człowiek odrazu się zmienił. Twarz jego wyrażająca dotąd chytrość i chciwość, złagodniała teraz. Gdy zaś Galilejczyk począł mówić, Zacheusz, zasluchany w jego mowę, całą postawą wyrażał żal i pokorę. I wierzę w jego poprawę, bo wzrok i mowa Jezusa skruszy najtwardzszego grzesznika — dodał Tobie, wznosząc rękę do góry.

— Niechaj ci On pobłogosławi za te ostatnie wyrazy — szepnął milczący dotąd Nataniel, biorąc rękę opowiadającego. — Nie słyszałem dotąd mowy Jego, lecz wiem i czuję, że to jest mowa prawdy, której oddawna oczekujemy.

Mimo zapewnień Tobiego, że Galilejczyk w dniu tym zapewne się nie zjawi, lud niechętnie się rozchodził.

Byli zaś tacy, którzy na chwilę odszedłszy, wracali znów do bram miasta i stali w niespokojnem oczekiwaniu.

Tymczasem do Betanii, wioski położonej u stóp góry Oliwnej, nieopodal Jerozolimy, przybyło dwóch ludzi. Ujrzeni tam uwiązaną u kółka oślicę, a przy niej źrebię zdatne już do noszenia ciężarów, a jeden z nich rzekł:

— Jest tak, jako nam wskazał Pan.

— Zabierzemy oślicę i źrebię, bo taka jest Jego wola — dodał drugi.

— Na źrebięciu nikt dotąd nie siedział, a tylko takie godnem jest nieść Pana — mówił dalej, odwiązując oślicę.

I zabrawszy, odchodzili ku Jerycho.

— Hej, ludzie, co robicie! oślica ze źrebiątkiem do mnie należy! — zawołał właściciel, zastępując im drogę.

A ludzie rzekli:

— Panu potrzebne wasze bydłatko!

Usłyszawszy to, ów nie rzekł i słowa, nie pytał się, kto ich przysłał, owszem, uradował się w duchu, a wróciwszy do domu, mówił:

— Wielka łaska spłynęła na mnie, na dom mój i na dobytek cały.

— Co się stało? — zapytała żona.

— Zobaczysz — odrzekł mąż.

Uczniowie, których Jezus wysłał do Betanii, przywieśli oślatko, zarzucili mu na grzbiet szaty swoje, a Jezus na tym skromnym wierzchowcu zdążył drogą ku Jerozolimie. Z nim razem podążali uczniowie Jego i tłumy, które się w drodze przyłączyły.

Wyszedł też i właściciel oślicy i żona jego, dzieci, służki i służebnice, on zaś rzekł:

— Błogosławieństwo spłynie na dom mój, bo oto Pan upodobał sobie jedno z moich bydlatek.

A im bardziej zbliżał się Jezus do Jerozolimy, tem większy tłum zastępował mu drogę.

Młodzieńcy zrywali zielone gałązki, rzucali je pod nogi jadącemu, wołając:

— Hosanna!

Dzieci, które gałązek drzew dosięgnąć nie mogły, zbierały przydrożne kwiecie a rozsypując je przed Panem, powtarzały dźwięcznym, jak śpiew skowronka głosem:

— Hosanna! Hosanna!

Dorośli a nawet starcy, w których sercach dawno już wszelka wygasła nadzieja, zdejmowali szaty swoje, a rzucając je przed jadącym, wołali wielkim głosem:

— Hosanna!

I tak z tryumfem tłumy wprowadziły Jezusa do bram miasta.

W tłumie zaś znajdowali się kapłani i mędrcomie izraelscy, wśród których nie brakło ani Faryzeuszów, ani Saduceuszów *), ani członków Sanhedrynu

Niektórzy z nich podzielali zachwyt i radość tłumy, inni chyłkiem między sobą szeptali:

— Któż zacy jest Ten, który taki entuzjazm w tym ludzie wzbudza?

Mówili także:

— Głosi Swoją naukę, chce nasz wpływ obalić!

— Prorok jakiś! burzyciel porządku! — dodawali inni ze złością wydymając usta.

A głosy tych niechętnych szumiały jak fala złowroga wśród łagodnego przypływu morza.

Lecz radosne okrzyki tłumy przysłuszały potajemne i niechętne szepty starszyny.

Wśród tych okrzyków przechodził Jezus przez miasto. Nieszczęśliwi i cierpiący zastępowali Mu drogę, czepiali się szat Jego, wołając:

— Mistrzu, pociesz nas!

— Panie, ulecz nas!

A Jezus łagodnem słowem pocieszał ich, kołł i uzdrowiał.

*) Według Ewangelii Św. Łukasza.

*) Sekty religijne izraelskie.

Przejechałszy tak przez miasto, zatrzymał się przed wspaniałą zbudowaną świątynią, a gdy wszedł do niej, zobowiązała Dusza Jego.

Oto w przedsionku świątyni, a też po obu stronach wspaniałej nawy, wznosiły się kramy z rozmaitym towarem.

Tu sprzedawano wonności i kadzidła, tam zausznice i manele; bankierzy nad stosami pieniędzy wymieniali większą na drobną monetę, lub kupowali i sprzedawali cudzoziemską monetę. Nie brakło też przekupniów z owocami i chłodzącymi napojami, każdy zaś zachwalał swój towar, starając się przygłuszyć sąsiada.

Słowem, z świątyni Pańskiej, gdzie tylko pienia pobożne, nauki i dym kadzideł wznosić się powinien, zrobiono istne targowisko.

Ujrzawszy to Jezus głosem wielkim zawołał:

— „Napisano — dom Mój — dom modlitwy jest, a wyście go uczynili jaskinią zbójców.” *)

I wszystkich kupców wraz z ich towarami ze świątyni wypędził.

— Cóż On mówi: „dom Mój?” zali On zbudował świątynię, lub na Jego cześć ją wzniesiono! — oburzali się Faryzeusze.

Odtąd cała starszyzna izraelska jęła szukać sposobności, by Go zgubić.

A Jezus od chwili swego wjazdu do Jerozolimy i wstąpienia do świątyni, codziennie w niej przemawiał i błogosławił dziatki, cisnące się do stóp Jego, a lud słuchał Go w skupieniu ducha i coraz więcej skłaniał się ku Niemu.

Z. Morawska.

Zofia Kłewerska.

W SUCHOWSKIM DWORZE.

(Dalszy ciąg).

Zonę? — podchwyciła cyganka. — Zoneczka panicza będzie piękna i będzie ona umiała patrzeć słodko, ani będzie miała głos jakby miodem posmarowany.

— Co, więc to dla mnie ta sekutnica? — zawołał Zdzis. — Nie wierzę w żadne przepowiednie, ale w tę jeszcze mniej niż w inne!

— Ha cóż, kiedy tak na ręce stoi napisane! Panicz nie będzie się bał ani wystrzałów armatnich, ani kul, ani zmęczenia, ani pracy;... nie będzie się panicz bał ani ognia, ani wody, ani cierpienia, ani śmierci, ale się będzie panicz bał żony.. Będzie panicz innym rozkazywał, na jedno spojrzenie wszyscy będą posłuszni, a słuchać będzie panicz, jak dziecko, jednej tylko osoby...

Zdzis wyrwał rękę cygance, nie chciał dalej słuchać. Miał w istocie nie mleko, ale żywą krew w żyłach i ta despotyczna przyszła żona tak mu się niepodobała, że zawrzał prawdziwym gniewem.

— Ja się wcale nie ożenię! — rzekł z obrazą — a takich wróżek słuchać nie chcę!

Stara cyganka zwróciła się do Józia:

— To ja paniczowi teraz powiem, co go czeka w przyszłości, czy mu przeznaczona dola czy niedola, czy mu się śmiać czy mu płakać przyjdzie w życiu.

Józio odsunął się i ręki nie podał.

— Ja nie wierzę w żadne gusła i zabobony — rzekł poważnie — i nie chcę żadnych przepowiedni słuchać. Pan

Bóg jeden zna przyszłość świata i przyszłość człowieka, a Jego wyroki są niezgłębione.

— To ja dla panicza kabałę postawię! — zawołała cyganka.

— Ja tego słuchać nie będę.

— To inni posłuchają. Posłucha tatuś — wskazała na profesora — posłucha mamusia, posłucha siostrzyczka z narzeczonym.

Mówiąc to, wyciągnęła z zanadru talię kart zatłuszczonych i brudnych i usiadłszy po turecku na skrzyżowanych nogach, poczęła rozkładać karty, podczas kiedy Józio oddalił się, by nie słyszeć przepowiedni. Za nim podążyła ta cyganka, co to miała syna żadnego nauki.

— Oj, widzę, widzę — mówiła wróżka — ani ci będzie miły świat, ani bogactwo, ani zabawa, ani tańce, ani wino, bo ty będziesz siedł prosty do nieba! I nie będziesz wdychał do żadnego przodowania, ale ludzie się na tobie poznają i będziesz biskupem. Oho! co ja tu widzę? Teraz ci się strzedz ognia. Ogień dla ciebie niebezpieczny! Kościół się pali, ludzie uciekają, duszą się, jedni drugich gniją... Już nic nie widzę, kabała już nic więcej powiedzieć nie chce!

Alusię, patrzącą na cygankę, ogarnęła jakaś trwoga. Za przykładem Józia nie chciała wróżby, ale Zosia poczęła namawiać.

— Cóż ci szkodzi? Przecież to tylko zabawa! Wiedzisz, że cyganki nic nie wiedzą, że chcą tylko zarobić jakiś grosz łatwym sposobem... przecie słyszałaś, jak mię wróżka wydawała za tatuńcia, a pana Chlewiatkę wzięła za męża mamy.

— To pocóż one wróżą, kiedy nic nie wiedzą?

— Bo im się nie chce pracować.

Stara wiedźma wyprostowała się, rzuciła na Zosię spojrzenie dumne i złe, wzięła się pod boki i rzekła:

— Cyganie nigdy nie pracowali i pracować nie będą! Cygan jest sobie pan! To słońce co świeci — to jego! Ten wiatr co wieje — to jego! A choć ten las zapisany jest na własność waszą, to w nim szum drzew — jest nasz, w nim to powietrze co pachnie żywicą — jest nasze. Wasze tu jest niby wszystko, ale my po wszystkich lasach na całym świecie chodzimy jak po swoich i te suche gałęzie, które palimy są nasze! I nasza ta trawa co ją konie cygańskie, skubią, i nasze te orzechy i te grzyby, które zbieramy. A pana nad sobą nie mamy i nigdy nie ścierpimy! My najwięksi panowie na ziemi, bo się nikogo nie boimy! Już nas nieraz wypędzano, przesładowano, gnębiono, ale my jesteśmy takie zwierzę, co to odciąć mu łapę, łapa mu odrasta; odciąć mu ogon, ogon mu odrasta... i głowa mu odrasta.

— Jaby ci odciął głowę, babo, i zobaczyłabyś czyby ci odrosła!

Te słowa wyrzekł Maciej, gajowy, który obchodząc las, dostrzegł ślady kół, poszedł za nimi i dotarł do obozu.

Stary cygan, który już poprzednio łajaniem uspokoił wróżkę, i teraz zaczął na nią tupać, pięść jej pokazywać i krzyczeć coś w niezrozumiałym języku. Stara uspokoiła się, spokojniała, ręce, któremi się pod boki podpierała opadły wzdłuż jej ciała, zgarbiła się, skuliła, zdawało się, że zczerniała, zbiedniała, zmalała.

Widocznie tego nędznego i mizernego kształtu ludzkiego Alusia bać się przestała, bo odważnie, choć z rumieńcami na policzkach, przystąpiła do starej cyganki i wyciągnęła małą rączkę, która drżała trochę.

— Aha, i panienka chce wiedzieć przyszłość? Dobrze, powiem co tu na rączce wypisane. Panienkę czeka ciężka choroba. Mamusia będzie płakała i będzie ręce łamała, ale panience ta choroba pójdzie na zdrowie. Panienka będzie bardzo bogatą panią, i będzie panienka miała męża...

— Jenerała? — zawołała jakby przez sen Alusia.

Dzieci wszystkie w śmiech, Alusia w pąsy. Chciała rączkę cygance odebrać i ku powozowi uciekać, ale kościaste palce cyganki rączki nie puściły.

*) Ewangelia Św. Marka.

— Jenerałowa, panienko, jenerałowa! Pojedzie z nim panienka w dalekie kraje, gdzie słońce nie przygrzewa ale piecze i gdzie każdy człowiek wygląda jak cygan. Z tego kraju przywieziecie wielkie skarby..

— To jakiś jenerał, co będzie rabował! — zawołał z pogardą Zdziś.

Pan Zabrzski przerwał zabawę. Słońce zniżało się ku zachodowi i trzeba było wracać do domu. Dał starej cygance dwa ruble.

— Nie za to, żeś wróżyła — ozwał się — ale za to, żeś moim dzieciom dała dobrą naukę.

Cygance oczy zaświeciły. Na pieniądze rzuciła się z łapczywością, jakby je przed towarzyszami ukryć chciała. Oczy jej zabłyśły chciwością i radością.

— Niech tam będzie za co chce — odparła.

— Za naukę, za naukę! Przekonały się, że ani twoje karty, ani twoja mądrość nic nie wiedzą. Tyle wiesz o przeszłości, co o teraźniejszości. Dobra była nauka i za tę ci płacę. Wszystkim zaś wam zapowiadam, że gdyby się w okolicy okazały jakie kradzieże..

— Cygany są niewinne! — wyrzekł jeden z cyganów, występując naprzód — tylko wszyscy złodzieje na nich winę składają! Cygany przynieśli skarby ze swego kraju i potroszeczkę z tych skarbów biorą.

— Łże, jasnie panie! — zawołał Maciej. — To największe złodzieje...

— Cicho, Macieju, cicho! Wiem ja dobrze, co oni warci. Chodźcie, dzieci!

Cyganie otoczyli znowu odchodzących i odprowadzili ich do powozu. Cyganka, która od początku męczyła Józia i teraz przypała się do niego, ale już nie krzyczała głośno, tylko pochylona nad nim, szeptała mu coś do ucha. Józio słuchał, a gdy nareszcie Maciej przemocą cygankę od niego odciągnął, rzekł do szamocącej się kobiety:

— To proszę mi tylko dostarczyć adresu chłopca.

Przy powozie stała inna cyganka a w chwili, gdy towarzystwo się zbliżało, Michał kładł jej na rękę jakieś pieniądze.

Z powrotem towarzystwo inaczej się rozdzieliło. Pan Chlewiatko szedł pieszo, a z panią Zabrzską jechali: Zosia, Alusia, Jańcio. Zosia wołałaby była iść lasem, ale musiała w domu do herbaty przygotować, więc szło jej o pośpiech. Gdy konie ruszyły, zapytała furmana:

— Za co to Michał płacił cygance?

— Ej... ona mię tam naciwała... niby powiedziała...

— Ale co powiedziała?

— Jak znajdę, to panience powiem.

— I teraz mi Michał może powiedzieć.

— Nie, nie mogę, bo cyganka zakazała. Tak mi peda: „nie mówcie nikomu a nikomu, nikomusięku...”

Tymczasem dwaj panowie i starsi chłopcy dobrym krokiem szli lasem, prowadzeni przez Macieja, który najbliższą wiodł ich drogą. Ta najbliższa droga nie była wcale wygodna. Przedzierali się często przez krzaki i ciernie,

przyczem chłopcy bawili się doskonale, starsi zaś panowie mniej daleko. W jedynym miejscu, w ciasnym przejściu, Zdziś zaczął się z Józim certować. Trzeba było rękami rozchyłać ciernie, więc Zdziś stanął i zawołał:

— Władza duchowna zawsze przed świecką! Niech wasza pasterska mość idzie pierwsza!

— O przepraszam! — odparł Józio — gdzie jest niebezpieczeństwo, tam wojskowy powinien torować drogę.

Dopiero pan Chlewiatko ich rozsądził:

— Idźcie łobuzy razem! — zawołał. — Władza duchowna i wojskowa powinny wspierać się wzajemnie!

Gdy wyszli z gestwiny i byli już na skraju lasu, Józio przypomniał profesorowi obietnicę:

— Niech nam pan teraz opowie skąd się wzięli cyganie.

(d. c. n.)

B. Dyakowski.

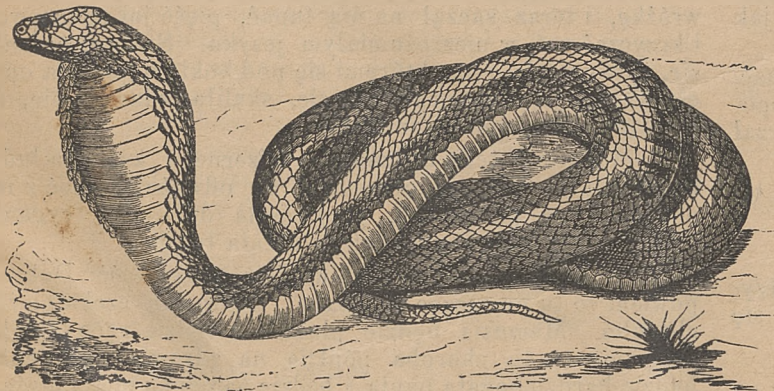
Węże.

(Dalszy ciąg).

Ameryka jest ojczyzną wielu węzów, a co gorsza bardzo jadowitych. Do najniebezpieczniejszych wśród nich należy cała rodzina grzechotników, oznaczających się dołkiem pomiędzy okiem a nozdrzami, którego nie posiadają inne węże jadowite. Drugą ich cechą stanowi grzechotka na końcu ogona, utworzona z pustych rogowych pęcherzyków, połączonych z sobą ruchomo. Jad grzechotników działa nadzwyczaj silnie, jest on w stanie zabić w kilka minut wołu lub konia. Ukąszenie zaś tem jest niebezpieczniejsze, że grzechotniki mają zęby jadowe bardzo długie i ostre tak, iż są w stanie przeciąć grubą skórę, czego nie mogą zrobić inne węże.

Jedne gatunki grzechotników zamieszkują miejscowości kamieniste i słoneczne, inne przebywają w lasach, zwłaszcza w bliskości wody. Wszystkie zaś są nadzwyczaj ociężałe i powolne. Na zdobycz czatują w ukryciu, zwinięte w kłębek pod osłoną cienistego krzaka lub kamienia. Gdy ofiara zbliży się dość blisko, grzechotnik rzuca się na nią szybkim ruchem i kąsa, wydając groźne syzczenie, poczem dla biednego zwierzęcia niema już żadnego ratunku. Człowieka zazwyczaj nie zaczepia; częstokroć jednak dość jest zbliżyć się zańdado do jego kryjówki, aby wprawić w złość grzechotnika i narazić się na ukąszenie. Całe szczęście, że przy każdym poruszeniu się węza, grzechotka sprawia wyraźny szelest, który ostrzega o niebezpieczeństwie i pozwala umknąć lub stanąć do walki. Zabić go zresztą nie jest wcale rzeczą trudną: wystarczy do tego mocne uderzenie w głowę. Krajowcy, natychmiast po zabiciu, odcinają mu głowę wraz z gruczołami jadowymi i następnie spożywają mięso, które ma być bardzo smaczne.

Grzechotniki znajdują się zarówno w północnej Ameryce, jak i w południowej; ta ostatnia jednak znacznie przewyższa pierwszą pod względem ilości i jadowitości swych węzów. Słyną z nich szczególnie Brazylia i Gujana, odpowiadające pod tym względem Indjom Wschodnim w Azji, znajduje się tam obok właściwych grzechotników bliski krewniak, ale stokroć niebezpieczniejszy, tak zwany grzechotnik bez grzechotki czyli surukuku, największy z węzów amerykańskich (2, 8 metra) chociaż nie dorównujący olbrzymiemu okularnikowi w Indjach. Jest to prawdziwy mocarz dziewczyczych lasów Brazylii, przed którym drży nawet jaguar, a i człowiek bez dobrej broni nie ośmiela się doń



Okularnik egipski.

P. S. Grzechotnik był umieszczony w N-rze 11-y m i przez omyłkę nazwany Okularnikiem egipskim.

podejść. Tak zabójczy jest jego jad i tak niebezpieczne ukąszenie!

Australia jest bodaj najbogatszą w węże jadowite ze wszystkich części świata; co roku nie jeden człowiek i nie jedna sztuka bydła pada ofiarą ich ukąszeń. Nie odznaczają się one jednak niczem szczególnem tak samo, jak ich krewniacy z Azji, Afryki lub Ameryki, polują przeważnie z ukrycia i tak samo mniejsze gatunki odznaczają mieszkania ludzkie. Z tego powodu nie będziemy dłużej zatrzymywali się nad nimi.

Zwróćmy za to uwagę na pewną właściwość, wspólną w ogóle wszystkim węzom jadowitym. Wiadomo, iż są one przeważnie nadzwyczaj ociężałe i powolne. Z tego powodu wydaje się bardzo dziwnem, że mogą chwytać tak ruchliwe stworzenia, jak myszy, jaszczurki, żaby oraz małe ptaki, które odznaczają się wielką zwinnnością lub zdolnością do dużych skoków. Zjawisko to niezrozumiałe na pozór, tłumaczy się z jednej strony tem, iż wąż leżący nieruchomo tak mało zdradza swą obecność, że zdobycz może się zbliżyć, nie wiedząc nawet o tem, do samej jego paszczy; z drugiej zaś strony niektóre drobne zwierzęta, na widok węża wpadają w dziwny przestach, który paraliżuje wszystkie ich ruchy a częstokroć pcha je wprost na niego.

Opisy podróży po krajach zwrotnikowych przepelnione są takimi wypadkami. Oto co opowiada jeden z podróżników po Ameryce: „o kilka kroków przedemną spory grzechotnik umieścił się pod drzewem, na którym znajdowała się wiewiórka. Wąż wpatrzył się w nią, i w tejże chwili biedne zwierzątko wydało ten charakterystyczny krzyk, pełen przeobrażenia, który stanowi nieomyślną oznakę obecności węża. Wiewiórka była już zgubiona: ogarnięta dziwnym szaleństwem, znajdowała się w nieustannym ruchu, próbowała uciec na wyższe gałęzie, ale tylko po to, aby za chwilę zbieść jeszcze niżej. Wąż zaś nie poruszał się wcale, z oczami utkwionymi w swą ofiarę, tak w nią wpatrzony że ani drgnął, gdy pod nią nogą, zatrzęszczała gałązka. Nagle wiewiórka

zachwiała się i wpadła wprost do szeroko otwartej paszczy grzechotnika.”

Uparty i zimny wzrok węża działa tak przejmująco na drobne zwierzęta i tak wstrząsa całym ich ustrojem, że giną one niekiedy z samego strachu nawet wtedy, gdy wskutek jakiegoś szczęśliwego przypadku unikną zębów węża. Podróżnik Le Vaillant opowiada, że zabił pewnego razu węża, który hypnotyzował wzrokiem ptaka na gałęzi. Ale ten ostatni był tak oszołomiony i wstrząśnięty niebezpieczeństwem, które mu groziło, że nie mógł przyjąć do siebie i w parę minut zginął. Temu samemu podróżnikowi udało się innym razem uwolnić mysz od węża, ale również bezskutecznie.

Nie wiadomo dokładnie, na czym polega ten paraliżujący wpływ węzów, tak zgubny dla drobnych zwierząt. Prawdopodobnie jest skutkiem strasznej obawy, jakiej doznają te stworzenia wobec swego groźnego wroga. W każdym zaś razie trzeba przyznać, iż stanowi on potężny oręż dla węzów, całe szczęście, że ludzie nie są wrażliwi na działanie ich wzroku, wówczas bowiem nie byłoby sposobu bronięcia się przed jadowitymi węzami.

(d. n.)



W Wielki Piątek.

„A oto zasłona kościelna rozdarła się na dwoje od wierzchu aż do dołu i ziemia zadrżała a skały się popadały. I groby się otworzyły i wiele ciał Świętych, którzy byli posnęli, powstało.” (Ewang. według Św. Mat.)

Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg.)

— Moja matka, jak matka Izaaka, chce dla syna żony z własnego domu, Rebeki, i to jest prawdziwym celem jej wyjazdu nad Wisłę, choć się do tego nie przyznaje nawet przedemną. Przytem my tu na naszych wyspach inaczej

zupełnie zapatrujemy się na podróżę niż wy ze stałego ładu. Nieszczęśliwy wypadek może się zdarzyć wszędzie, energia i siła fizyczna bronią od wypadku. Moja matka bała się dla mnie zawsze tylko niedołęztwa i zdenerwowania, nigdy zbytku rzutkości lub przedsiębiorczości. Żołnierze padają w każdej bitwie, każdy cel zdobywa się ofiarami. Iluż ludzi zginęło dlatego, że chcieli zbadać tajemnice biegunów, iluż chemików straciło życie przy próbach w laboratorium. Tak było i być musiało od początku świata. Kto wie, czy nie spalił się człowiek, który pierwszy rozniecał ogień, ale my za to grzejemy zziębnięte ręce przy kominku.

— Pan ma słuszość, matka pańska wołałaby jednak pewnie, aby pan został w Londynie.

— Sądzę, że nie. Alboż duże miasto nie naraża nas na więcej niebezpieczeństw niż dziewicze lasy Ameryki? Setki młodych ludzi ginie zmarnowanych próżniactwem i zbytkiem wielkich stolic? Nie znasz, Stefanie, świata, nie możesz wiedzieć do jakiego stopnia zły przykład bywa zaraźliwy.

— Miałem tego dowód na Leonie Ziemiaku — przerwał Luty.

— Prawda, zapomniałem, że sparzyłeś już palce, dotknąwszy się łotra. Ale prócz łotrów, ileż ofiar zabiera rok rocznie próżniactwo i lekkomyślność. Gdyby statystyka zadała sobie pracę obliczenia tych biedaków, dowiódł bym ci, że ginie ich więcej po salonach i ulicach niż na polu doświadczeń naukowych, lub przedsięwzięć w rodzaju mojej kolonizacyjnej wyprawy.

Stefanowi wspomnienie Leona zachmurzyło duszę. Złe przeczucie owładnęło chłopcem, uciekłyby na koniec świata, byle zapomnieć o pokusach i niebezpieczeństwach bremeńskich. Jakób pogrążony we własnych myślach nie spostrzegł smutku ślusarza.

— Życie wtedy tylko jest piękne — mówił inżynier, kiedy oddajemy je na usługi wielkiej sprawy. Ja i moi towarzysze pracujemy dla naszych rodaków.

— Gdyby pan chciał wziąć mnie z sobą, karczowałbym lasy, uprawiał pola, bo zdrow jestem i silny. A może przy tej sposobności pomógłbym i naszym osadnikom. In nie ma kto dać dobrej rady. No i nie rozłączyłbym się z panem — wyszeptał nieśmiało Luty.

— Doprawdy? pojechałbyś ze mną — zapytał Jakób, patrząc bystro w oczy Stefana. Kto wie, czy to nie dobra myśl. We mnie płynie przecież krew Orliczów, mam zatem także obowiązki i dla waszych kolonistów. Daję ci dwa dni do namysłu, wybieraj! Możesz wrócić z moją matką nad Wartę lub nad Wisłę, możesz zostać w Londynie, zapisawszy się do szkoły, możesz wreszcie ze mną zakładać nowe zbiorowiska ludzkie. Uratowałeś mi majątek, masz do niego prawo, pieniędzy weźmiesz, ile zapotrzebujesz.

Stefan nie zdążył odpowiedzieć bo do pokoju weszła służąca i oddała mu list, zaadresowany po polsku.

Kto mógł pisać do sieroty, kto wiedział o jego pobycie w Londynie?

Stefan rozerwał kopertę i czytał co następuje.

„Jeśli powiesz prawdę przed sądem, zginiesz jak każdy zdrajca”

— Kto przyniósł ten papier? — zawołał Jakób, któremu Luty oddał otwarty list.

Służąca nie umiała dać żadnych objaśnień. Ona także była w kościele i wróciwszy zastała kopertę wsuniętą w szparę drzwi. Przeczytała na adresie imię Stefana więc choć nie rozumiała reszty wyrazów, domyśliła się, że list należy oddać młodemu panu.

Biedny młody pan stał błądy i zmieszany. Co miała znaczyć ta groźba? Stefan wiedział dobrze, co znaczyła. Wiedział, że ostrzeżenie pochodzi od Leona Ziemiaka i całej bandy zbójckiej.

Rozdział IV.

Wytrychy. — Posiedzenie sądu. — Nie skłamię. — Sprawa odroczone. — Dwóch nieznanym. — Poddasze. — Wspaniały mundur. — Wujaszek Żądło. — Dzielnica Whitechapel. — Pułkownik John Dudley Honduras. — Jakób w niebezpieczeństwie.

Ucieczka. — Elewator. — Na haku.

Biedny Stefan Luty!

Trzy miesiące spędzone w towarzystwie rodziny O'Clearów pozwoliły mu zapomnieć o wypadkach zaszłych w Bremie, aż tu nagle wypadki te i ludzie zmartwychwstali na jego zgubę.

List Leona wstrząsnął do głębi duszą chłopca, zaraz zaś nazajutrz po otrzymaniu tajemnej korespondencji odebrał Luty rozkaz stawienia się u sędziego śledczego. Miał złożyć zeznanie w sprawie napadu na kantor bankiera O'Cleara. Sprawa wzięła zły obrót. Kilkakrotnie a zachwałę kradzieże obudziły czujność policyi. Rozboje wiązały się z sobą tajemną nicią, co dowodziło, że sprawcy kradzieży należeli do dobrze zorganizowanej bandy. Na ślad tej bandy naprowadziły władzę wytrychy znalezione w kantorze O'Cleara. Poznał je przy badaniu w sądzie ślusarz, uwięziony za spełnione poprzednio złodziejstwo, ten sam ślusarz, którego miejsce zastąpić miał Stefan. Upominał się o oddanie wytrychów, należało więc dojść, od kogo Luty odebrał narzędzia. Na żądanie sądu bremeńskiego miano przesłuchać w Londynie Stefana. Przyszła więc na złoczyńców godzina sądu, zadrżał Szwarc, nawet przebiegły Salcman opuścił Bremę, bo nie czuł się w niej bezpieczny.

— Zginiesz, jak każdy zdrajcą — brzmiało ostrzeżenie Ziemiaka.

— Czyż istotnie zasługuję na miano zdrajcy? — pytał sam siebie Stefan. Dręczył go niepokój, nie był pewny jak ma postąpić. Jeśli powie prawdę, zgubi Leona i Szwarca. Nie znał ani prawdziwego nazwiska, ani mieszkania trzeciego współnika, temu więc nie groziło niebezpieczeństwo. Czy wolno mu jednak było odmówić zeznań, zataić występki? Złe należy karać, dobre nagradzać. Jeżeli zbrodniarze ujdą przed sprawiedliwością, kto zaręczy, czy uzuchwaleni powodzeniem, nie popełnią nowego przewinięcia? Nie uwikłają nowych ofiar w swoje sieci, jak uwikłali Stefana.

— Jedna jest tylko droga postępowania, prawda, — nauczał proboszcz Wągrowiecki. Powinien powiedzieć prawdę. Tego samego zdania był także Jakób.

— Ściągniesz na siebie niebezpieczeństwo. Brazylijczyk już w Bremie groził mu zemstą, gotów biedaka zamordować podstępnie — przedstawiała pani O'Clear, bo pragnęła obronić sierotę od ludzi sprzysiężonych na jego zgubę.

Uwagi wdowy nie zachwiały jednak postanowieniem Stefana.

Jakób towarzyszył ślusarzowi do sędziego. Luty pierwszy raz widział przybytek sprawiedliwości, gmach, w którym waży się losy ludzkie. Oskarżenia wychodzą stąd niewinni lub skazani na hańbę. Czarne stroje, poważne twarze sędziów zrobiły na chłopcu tak silne wrażenie, że nie zauważył dwóch szaro odzianych postaci, które szły za nim krok w krok.

Stał i patrzył na wielki krucyfiks zawieszony w głębi sali. Biała z kości rzeźbiona postać Chrystusa wyciągała przebite gwoździemi ręce na tle czarnego krzyża. Męczennik Boży, który umarł za prawdę i sprawiedliwość, przypominał, zarówno sędziom jak winowajcom i świadkom, nie-wrzucone ich obowiązki.

„Nie będziesz brał Imienia Pana Boga twego nadaremno” to przykazanie obowiązuje wszystkie pokolenia do końca wieków. Niewolno kłamać nigdy, tem mniej świadcząc uroczyście w obliczu ukrzyżowanego Mistrza. Stefan był już teraz spokojny, bo czuł, że ani względ na Leona, ani na własne bezpieczeństwo nie sprowadzi go z drogi prawdy. Co bądź nastąpi odpowie szczerze i śmiało.

Nie składał jednak zeznań tego dnia. Sąd odroczył sprawę bremeńską, poprzednia zabrała mu zbyt wiele czasu.

— Zmitrężono nam próżno parę godzin — powiedział Jakób wychodząc z sali.

— Zmitrężono? A tak, panu zapewne. Co do mnie to nie żałuję straconych tu chwil. Wiem teraz, że nie potrafiłbym skłamać przed wizerunkiem Chrystusa.

— Nawet dla uratowania życia — pytał O'Clear.

— Nawet gdybym wiedział, że zgubię Leona, — powiedział Stefan głośno, ale zaledwie wymówił te słowa potrafił go ktoś w tłumie. Wydało mu się, że jakieś ręce wyciągają się ku niemu. Mijali właśnie główną bramę pałacu sprawiedliwości, a w bramie stało kilku konstablów. Spostrzegli zamieszanie i podnieśli swoje laski. Na ten znak dwóch szaro ubranych mężczyzn przebiegło szybko w poprzek ulicy. Zniknęli za najbliższą kamienicą, nim Stefan zdołał przypatrzeć się ich rysom.

— Rozbijają ludzi, musi im być pilno — sarknął Jakób a Stefanowi wydało się nagle, że zna natrętnych przechodniów. Twarz niższego nie była mu obca, oczy zwłaszcza, te oczy widział już, niezawodnie, gdyby nie wąsy i broda sądziłby, że to Leon. Starszy przypomniał mu figurę spotykającą w Wągrowcu.

— Przywidzenie — pomyślał i przyspieszył kroku, dążąc za Jakóbem.

A jednak Jakób miał słuszość, było im pilno, bo szli coraz prędzej, zagłębiając się w odległe i nędzne zaułki dzielnicy Whitechapel. Jest to część miasta zamieszkała przez najuboższą ludność. Kryje ona swą nędzę w wilgotnych suterynach lub na stromych i ciemnych poddaszach. Na takie to właśnie poddasze wspinali się nieznajomi. Wprzód jednak starszy zdjął niebieskie okulary, a młodszy wąsy i blond brodę. Stefan Luty poznałby teraz dawnych znajomych. W sali sądowej zauważył czarne błyszczące oczy człowieka w szarym surducie i wysmukłą figurę jego towarzysza, teraz wiedziałby już kto go śledził..

Poddasze biegło wzdłuż trzechpiętrowego domu, załamując się na rogach kamienicy. Oświecało je małe okrągłe okienko, wychodzące w głąb ciasnego podwórka, tak ciasnego, że nieznajomi obeznani z miejscowością przerzucili deskę od okna do okna i dostali się po niej na gzyms sąsiedniej kamienicy. Byli znów w podobnym do pierwszego poddaszu, starszy namacał wąskie drzwi i weszli obaj do ciemnej izdebki, ciemnej ale zamieszkałej. Na podłodze paliła się zakopcona lampka naftowa a przy jej świetle jakiś człowiek przeglądał papiery, robiąc jednocześnie małe znaczki na talii kart, które trzymał w ręku. Skrzyknięcie drzwi zwróciło jego uwagę, zerwał się z ziemi i podszedł do wchodzących. Miał w obejściu powagę zwierzchnika, przyzwyczajonego dawać rozkazy.

— Co powiedział, wujaszku? — zapytał ostrym tonem.

Ten, którego nazywano wujaszkiem usiadł znużony na stosie starego żelaztwa i śmieci.

— Nie składał zeznań, sprawę odłożono. Ale to jakiś delikatny ananas z ogródka księdza proboszcza. Słyszałem, jak mówił, że nie skłamię. Byłbym go udusił na miejscu, gdyby nie konstablowie i nie Anglik.

— Podły, zginie, musi zginąć — syknął lokator poddasza. Chudy i oliwkowej cery, przypominał zarówno człowieka z bremeńskich podziemi, jak i wspaniałego don Jose de Fernando Patamos. Różnił się jednak od nich obu strojem i stanowiskiem. Miał na sobie czerwony boga to szamerowany mundur angielskiego dragona. Nakrył go tylko starannie płaszczem i dobrze zrobił. Wspaniały strój oficera mógł się posmolić w brudnej norze, a co ważniejsza, że w dzielnicy zamieszkałej przez ubogą ludność zwracałby na siebie uwagę przechodniów.

— Jesteście gotowi? — zapytał człowiek o oliwkowej cerze, chowając papiery do kieszeni mundura.

— Na wszystko, niema czasu do stracenia, jutro może już być za późno, bo jutro złożę zeznania — podchwycił usługnie wujaszek — i zaczynam nas szukać wszędzie.

Trzeci, najmłodszy w tej kompanii towarzyszy, milczał, ociągając się z wyjściem.

— Może ja bym poszedł do niego i prosił, aby nas nie gubił. Był dobrym kolegą, da się przekonać — wymówił nieśmiało.

— Głupiś — mruknął wujaszek. Siedź tu i czekaj na mnie kiedy jesteś taki niedołęga.

— Niedołęga, głupi! Pewnie, że byłem głupi, słuchając wujaszka, a teraz...

(d. c. n.)

Pioruny kuliste.



Wiemy z doświadczenia, że piorun, to jest iskra elektryczna, uderzająca z chmury w ziemię, posiada zwykle formę zygzakowatą. Zdjęcia fotograficzne błyskawic piorunowych przedstawiają je, niby gałęzie, często silnie pogięte i dzielące się na mniejsze gałązki.

Zdarzają się niekiedy pioruny, które wyglądają i zachowują się zupełnie inaczej, niż zwykle.

Przedewszystkiem mają kształt kuli, wielkości głowy ludzkiej; dalej zjawiają się zwykle bez huku, poruszają się powoli, często nie palą rzeczy, z którymi się zetkną i giną w ziemi bez huku, ale przy silniejszym uderzeniu się o twarde przedmioty, roztrzaskują się na drobne iskierki, siejąc dokoła okropne zniszczenie.

Zjawisko to nie jest dotąd dokładnie wyjaśnione, lecz już pewien inżynier francuski — Otto, próbuje z dobrym skutkiem wytwarzać za pomocą maszyny elektrycznej i 2 metalowych blach, podobne sztuczne kulki elektryczne.

On też opisał piorun kulisty, widziany przez niego samego w okolicach Nizy i przedstawiony na rycinach naszych.

W czasie śniadania zerwała się gwałtowna burza, i nagle do jadalni przez otwarte okno wpadła kula ognista, mierząca około 20 cm. średnicy.

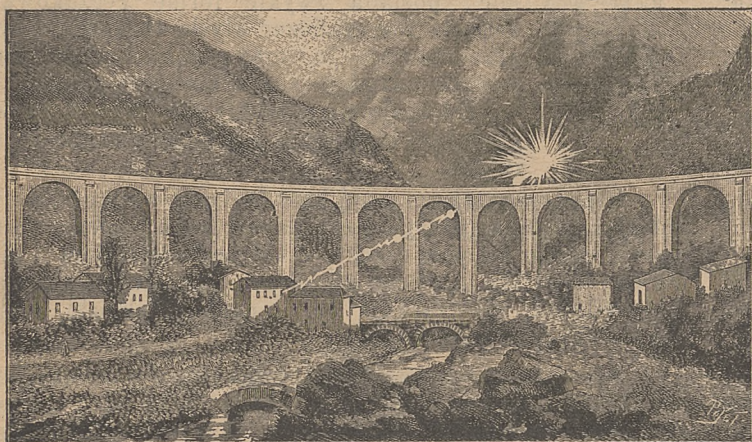
Unosząc się w powietrzu, obeszła cały pokój nie dotykając na szczęście żadnego przedmiotu i wyleciała przez okno. Ochłonawszy z przerażenia, obecni rzucili się ku oknu. Tajemnicza kula szybowała z wiatrem ku górze. Minawszy wąwóz i wiadukt kolejowy, uderzyła o ścianę. W tej chwili rozległ się potężny grzmot i kula zniknęła.

Różnych zdarzeń z piorunami kulistymi opowiadają bardzo wiele, zwłaszcza w Europie południowej. W 1887 r. 24 kwietnia w pewnej wsi francuskiej taki piorun wpadł przez drzwi otwarte do obory, w chwili, gdy gospodyni zabierała się do dojenia krowy. przesunął się między niemi i wyleciał, nie zrzadziwszy żadnej szkody. Pomimo to przerażona krowa stanęła dęba z okropnym rykiem a gospodyni w największym przestachu uciekła z obory.

Innym razem, kula ognista wpadła przez komin do chaty i przesunęła się koło nóg młodego chłopca, który starannie unikał zetknięcia się z nią, to też nie wyrządziła mu żadnej szkody. Okazuje się zatem, że najlepiej w takich razach zachować zimną krew, nie ruszać się z miejsca, tylko unikać uderzenia płynącej w powietrzu kuli.



Piorun kulisty w mieszkaniu (p. str. 95).



Pęknięcie piorunu kulistego (p. str. 95).

SZARADA.

ułożył Giermek dla Hetmana.

Pierwsza, wykrzyknik lekceważenia,
Druga z literą jednego brzmienia.
Pierwsza i druga jest wierszoklety
 Jmień, pamięci śmiesznej niestety,

Zaś trzecia pierwsza szeroko płynie
 W niegdyś słowiańskiej Wendów krainie.
 Płynie też *czwarta i druga* przecie
 Lecz w każdym kraju, na całym świecie.
Wszystko, to ludzie, co wprowadzie sami,
 Nie obciążyli się naukami,
 Uczą mniej jeszcze od nich umiających —
 Choć tylko czytać, pisać pragnących.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Od Stasia K. z Sokolowa dla Wańdzi H.

Z następujących sylab: ach—arc—a—bie—cu—czu—ca—
 dze—dłu—gosz—ła—łom—med—miec—nas—nus—ni—niec—
 rał—sau—so—ski—szy—ty—wa—wi—yap—yach—zie—
 zarz—zych;—ułożyć 15 wyrazów, których początkowe litery two-
 rzyć mają nazwisko i imię polskiego powieściopisarza, a końcowe
 powieść jego dla młodzieży i tytuł książeczkidła dzieci. Znacze-
 nie wyrazów: 1) Imię kilku sultanów tureckich. 2) Dawne udzielne
 niemieckie księstwo. 3) Przybysz z obcego kraju. 4) Postać
 z powieści Sienkiewicza „Krzyżacy.” 5) Jedna z wysp Karoliń-
 skich. 6) Rzeka w stepie Kirgiskim. 7) Rzymska bogini
 młodości. 8) Nędzarz z Ewangelii. 9) Nazwisko boha-
 terki francuskiej. 10) Kronikarz polski. 11) Spacerowe
 statki wodne. 12) Król polski. 13) Szczyt gór w Ta-
 trach. 14) Mieszkaniec kraju połud. Azji. 15) Jezioro
 i miasto w gub. Suwalskiej.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 10-go.

Zagadki: Wiatr.

Łamigłówni w kształcie krzyża:

		E	W	a		
		N	i	l		
		M	i	e	d	ż
N	a	c	h	i	c	z
N	a	r	u	s	z	e
		A	z	o	r	y
		W	a	r	n	a
		S	t	y	k	s
		A	r	a		
		G	o	a		
		O	d	a		
		G	i	z	e	h
		M	u	r	i	l
		C	z	a	r	n
		D	a	r	d	a
		F	a	r	a	o
			n	e	g	i
				p	s	k
				i		

Przypominamy o wczesnem **ODNOWIENIU PRENUMERATY** na kwartał 2-gi dla uniknienia zwłoki
 w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: W Niedzielę Palmową (z ryc.) — W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Węże, przez B. Dyakowskiego (z ryc.) —
 W Wielki Piątek (z ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Pioruny kuliste (z ryc.) — Łamigłówni i rozwią-
 zania. — Dodatek: Poselstwo z krainy czarów, opowiedział B. Buyno (z ryc.) — Nie wytrzymam, (monolog Zosi). — Z życia
 króla chłopków, przez W. Kwiatkowską. — Sztuczka zręczności. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek
 książkowy: Dworzanin królewicza Jakóba, przez Teresę Jadwigę.

POSELSTWO Z KRAINY CZARÓW.

(Dalszy ciąg).

Nagle nad głową posłyszała szelest skrzydeł i odgłos czegoś padającego na ziemię o parę kroków od niej. Przetarła oczy i spojrzała. O! dziwy! na trawie leżały dwa pantofelki. Tolcia zerwała się i pobiegła je podnieść.

Nie były nowe: zrobione były z czegoś twardego i świeżego, i nie wyglądały na wygodne... Tolcia skrzywiła się i zadąsała... No! ale były przynajmniej całe — lepsze niż czerwone podarte... z niechęcią wprawdzie, ale zaczęła je kłaść na nóżki. Przed nią zaświergotały ptaszki... To Krętogłówka i Przekornatka cieszyły się, że wybawią miłą dziewczynkę z kłopotu.

Tolcia przymierzyła jeden pantofelek — potem drugi.

— To dziwne! — zaświergotała Krętogłówka. — Nie pasują zupełnie na jej nóżki?

— Ale dlaczego? — dziwiła się Przekornatka. — Nie rozumiem... Przecie to pantofelki zręczności.

Tolcia brała to jeden, to drugi pantofelek kładła i zdejmowała.

— Szkoda, że takie niewygodne — powiedziała. — A ja myślałam, że będą w sam raz na mnie!

— I ja tego nie rozumiem — zaświerkała Krętogłówka. — Ale widzę, że się na nic nie zdały.

Tolcia wciągnęła wreszcie pantofelki, podniosła się i zaczęła iść. Ale zaledwie uszła parę kroków, pośliznęła się i padła jak długa. Podniosła się, spróbowała iść dalej i upadła znowu. Rozgniewana, zrzuciła z nóg trzewiczki.

— Obrzydliwe pantofle! Niezgrabne klapcie! — zawołała ze złością.

I porwawszy trzewiczki, odrzuciła je jak mogła najdalej, a potem zaczęła płakać. Wieszczyki nie posiadały się ze zdumienia. Na drodze rozległ się turkot i nadjechał mały wózek, powożony przez szesnastoletniego chłopca. Chłopiec, syn kolonisty z pobliza, zatrzymał się na widok płaczącej Tolci.

— To panienka z domu pod lasem? — zawołał. — Co się panience stało? — Może odwieść do domu?

— Idź precz! — oburknęła się z gniewem Tolcia.

— Czemu nie, mogę iść precz! — odpowiedział chłopiec i cmoknął na konia.

Ale obejrzał się jeszcze raz na Tolcię, zeskoczył z wózka i podszedł do niej. Tolcia przestała płakać, ale była bardzo zadąsana.

— Nie mogę panienki tak zostawić. Niech panienka siada na wózek, to odwieżę do domu.



— Idź sobie! Helusia zaraz nadejdzie; poszła po trzewiczki...

Urwała i naciągnęła sukienkę na nóżki. Nie chciała, żeby kto zobaczył, że jest bez trzewików.

— O! o! o! — zawołał chłopiec. — Panienka zgubiła trzewiki? Ale przecież tu leżą jakieś pantofle na trawie. Niech panienka włoży...

Podniósł zaczarowane pantofelki, ale gdy Tolcia obuła się w nie i podniosła, potknęła się zaraz i byłaby upadła, gdyby jej chłopiec nie podtrzymał.

— Na nic te trzewiki — powiedział. — Ja panienkę zaniosę do wózka, posadzę na mojej kurtce i będzie wygodnie.

— No! dobrze! ale się śpiesz! — zawołała Tolcia z niecierpliwością. — Widzę, że tu idą te dwie nieznośne staruszki z domku w lesie. Nie chcę, żeby mnie tu zastały.

Jakoż istotnie, Krętogłówka i Przekornatka, przemieniwszy się z ptaków w stare kobiety, śpieszyły na pomoc ślicznej dziewczynce, lecz dzieci nie czekały na ich przybycie i odjechały.

— Wieszczyki dziwiły się bardzo.

— No! no! no! — zagwizdał kos. — Jabym się tam nie kłopotał o tę grymaśną dziewczynkę.

— Ale Władek od kolonisty ma dobre serce — od rzekł mu czyżyk. — Wiesz o tem dobrze!

— Prawda! prawda! — zagwizdał kos. — Dobry to chłopiec. Coby się z nami stało w zimie, gdyby nie jego pomoc?

Ptaszki rozmawiały dalej. Przekornatka i Krętogłówka zaczęły nadłuchiwać z uwagą.

— Teraz o nas mowa! — szepnęła Krętogłówka.

— Nie wiem nic — mówił czyżyk — ale jakoś nie dobrze mówią o nich we wsi i u letników, a ta maleńka przed chwilą powiedziała: „te nieznośne staruszki.”

— Krętogłówko! — zawołała Przekornatka. — Nie ma co słuchać tych plotek...

I podążyły co żywo do domu.

VI.

Co się stało z czarodziejskimi pantofelkami?

— Raz! dwa! trzy! — podśpiewywała Helusia, tańcząc po pokoju. — Już mi lepiej idzie... Raz! dwa! trzy!

— Helusiu! Helusiu! — wołał Staś.

— Uczę się moich *pas*, Stasiu! — odpowiedziała Helusia.

— Nie nudź! — ofuknął Staś. — Potrzebuję się poradzić o kokardy. Jakie kolory mam wziąć jutro na wyścigi?

— Raz! dwa! trzy! — nuciła Helusia, przesuwając się przez pokój. — Zobaczę dziś wieczorem po lekcji tańca. Wiesz, że mamy wyjść za pół godziny do dużego domu, a pani Jordanowa prosiła...

— Wiem! wiem! — przerwał Staś niechętnie. — Ale na nic się nie zda twoja praca. Janinka tańczy daleko lepiej i ją wybiorą do menueta, a ja będę tańczył krakowiaka, tylko Helusiu obejrż moje kokardy.

Helusia westchnęła głęboko i pobiegła do Stasia.

— Naturalnie, weź niebieską kokardkę — powiedziała. — Niebieski kolor oznacza stałość, a to przecie wielka, zaleta rzekł Staś. Jabym wołał czerwoną.

— Zrobię ci jedną białą z niebieskiem, a drugą białą z czerwonym dziś wieczorem — powiedziała Helusia. — Wybierzesz, którą zechcesz, a ja wezmę drugą.

Ale Staś nie chciał czekać do wieczora, i Helusia, dobra jak zawsze, zabrała się zaraz do szycia. Szyła zrećznie, ale jednak zabrało jej to sporo czasu, tak, że nie mogła już przed wyjściem do dużego domu powtórzyć swoich *pas*.

— Helusiu! Helusiu! Już czas! — wołały na nią dzieci.

— Ach! gdybym miała jeszcze choć z pół godzinki! westchnęła.

(d. c.n.)

NIE WYTRZYMAŁ.

(Monolog Zosi).

Nie wytrzymam, słowo daję!
Mamusia mnie ciągle łaje,
Tatusz też się często gniewa,
Ach! jakam ja nieszczęśliwa.
Tak, na przykład dzisiaj rano:
Że śniadanie już podano,
A ja jeszcze byłam w łóżku
Mama mówi: — Fe, leniuszku,

Czyż ci nie wstyd; do tej pory
Może leżeć tylko chory,
A tyś zdrowa z łaski Boga,
Wstawaj zaraz, moja droga!
Wstaję... biegnę na śniadanie,
A mama znów: — Ach, kochanie,
Bez pacierza? to nieładnie! —
— Zmówię później; nie przepadnie —
— A to znowu co za mowa?...
Krzyknie tatuś. Na te słowa
Pacierz zmówić trzeba było,
Lecz na tem się nie skończyło.
Na śniadanie wracam rada,
A tu mama znów powiada:
— A to co? moja kochana,
Nieumyta, rozczochrana
Z nami siedzieć chcesz przy stole?
Idź się ubrać! —

— Później wolę.

Tatusz spojrzął, ach, tak srogo,
Aż mi serce drgnęło trwogą,
Widzę, że się bardzo gniewa —
— To dziewczyna niegodziwa!
Nieposłuszna i zuchwała
Rób, co matka ci kazała!
Wciąż się trzeba gniewać na nią.
— Ach! jak mnie rodzice gania;
Mówią: Zosia jest nieznośną,
Zosia śmieje się za głośno,
To się garbi, patrzy krzywo,
Jest upartą, jest leniwą,
Brudzi książki i kajety,
Nie chce uczyć się niestety! —
I tak oto przez dzień cały
Słyszę bury i morały.
Lecz na co się wszystko zdało,
Zważam na to bardzo mało,
Ramionami wzruszam sobie,
Bo i cóż ja złego robię?
Jestem tylko nieszczęśliwa,
Źle i smutno czas mi spływa
Ojciec krzyczy — mama łaje,
Nie wytrzymam, słowo daję! (z westchnieniem).
Ach! mój Boże! ach, mój Boże!
Źle, źle ze mną... (po chwili).

ale może...

Może prawda, żem ladaco...
Nie lubię się zająć pracą,
O porządek dbam też mało,
Jestem, czuję, dość zuchwałą,
Tak... mam wady, ale przecie
Czyż są ludzie bez wad w świecie,
Są czy nie są, trudna rada,
Mnie poprawić się wypada.
Ale jak się wziąć do tego,
Jak tu zacząć i od czego? (myśli).

(po chwili).

Wiem już, wiem już, jak ja zrobię,
Obmyśliłam dobrze sobie:
Wstanę rano, wstanę sama,
Zanim się obudzi mama,

Umyję się i uczeszę,
Z ubieraniem się pospieszę —
Potem pacierz zmówię szczerze,
„Ojcze nasz,” „Zdrowaś” i „Wierzę”
Gdy modlitwa mnie pokrzepi,
Wszystko pewnie pójdzie lepiej;
Będę grzeczna przez dzień cały
I zasłużę na pochwały.

Helena Bojarska.

Z ŻYCIA KRÓLA CHŁOPKÓW.

Dawno, bardzo dawno temu, panował w naszym kraju król Kazimierz, królem chłopków zwany, bo każdemu wieśniakowi wolno było przyjść do niego ze skargą, jeżeli zrobiono mu jaką krzywdę. Otóż ten król często, zwyczajem swoim, chodził po wioskach, aby przekonać się o doli wieśniaków.

Pewnego razu, przebrany za podróżnego, szedł przez las z zamiarem udania się do pobliskiego siola. Uszedłszy spory kawałek drogi, usłyszał przyciszoną rozmowę i płacz dzieci, obejrzał się i zobaczył chłopca siedzącego na ziemi a obok niego małą dziewczynkę. Oboje byli nędznie odziani i bardzo mizerni; dziewczynka zanosila się od płaczu a chłopiec ocierał jej łzy i powtarzał:

— Cicho, cicho Teresko, Matka Boska zlituje się nad nami.

Król zbliżył się do dzieci i zapytał:

— Czego tak płaczecie?

Chłopiec powstał z ziemi, spojrzał z niedowierzaniem na nieznanego i odrzekł:

— Powiedziałbym, ale się boję, żeby jegomość tego starej Bartłomiejce nie powtórzył.

— Nie bój się, mój chłopcze, nie znam Bartłomiejki, nie wiem nawet gdzie mieszkacie. Ale mogę poradzić na waszą żalność, bo widzę, że jesteście bardzo strapieni.

Na to ośmielony nieco Maciuś, zbliżył się do króla i tak mówić zaczął:

— Kiedy jeszcze żyła nasza matka, to było nam bardzo dobrze, ona nas nie łajała i bywało kołacz z jarmarku przyniosła, ale teraz mieszkamy u starej Bartłomiejki, która nas ciągiem łaje. Dzisiaj kazała nam pójść do lasu i zapowiedziała, że jak nie przyniesiemy po pełnym dzbanku jagód, to nie dostaniemy wieczerzy i jeszcze nas obije. Chodzimy i chodzimy po lesie, i za ledwie uzbieraliśmy trochę jagód, a tu już i słońko zachodzi. Myślałem, że jak moje jagody wsypię do dzbanka Tereski, to u niej będzie pełny, ale ledwo na połowę starczyło. O mnie to już mniejsza, ja chłopak to prędzej wszystko zniosę, ale żal mi siostry.

Na te słowa Tereska głośno zapłakała i zawołała:

— Ja nie chcę, żeby ciebie Bartłomiejka za mnie obija, boś ty taki mizerny!

— A niema się kto ująć za wami? — zapytał król.

— A niema — odrzekł Maciuś — tatulo powędrowali na robotę i nie wrócą aż w późnej jesieni. O! gdy-

byście mi panie powiedzieli, którą drogą do Krakowa, to jabym tam z Tereską poszedł.

— A i cóżbyście w Krakowie robili? — zapytał król.

— Słyszałem ja od ludzi — mówił Maciuś, — że nasz król to taki dobry, jak ojciec rodzony, poszedłbym więc do niego, padł na kolana i zawołał: — Najmiłościwszy panie, zlituj się nad sierotami! O, ja wiem, on by nam ani chleba ani kaszy z mlekiem nie pożałował, a jaby mu za to wiernie służył.

— A jakżebyś ty jemu służył? — zapytał Kazimierz, wzruszony słowami chłopca.

— Jak? — powiedział Maciuś — oto rano zamiótłbym czyściutko izbę...

— Ja także umiem już zamiatać miotłą — zawołała Tereska.

— No to tybyś zamiatała — odrzekł Maciuś, — a ja przyniosłbym białutkiego piasku i wysypał nim izbę a nawet całe podwórzel

— A ja — mówiła Tereska — narwałabym zielonych gałązek i umiałabym pułap, jak to u nas na Zielone Świątki robią.

— A i prosiatko — zawołał Maciuś — tobym mu tak upaś, że byłby okrągły, jak bochen chleba i nigdy bym go w szkodę nie puścił.

— A ja kury wyganiałabym z ogrodu — obiecywała Tereska.

— Dosyć, dosyć, moje dzieci — zawołał król, a w oczach jego zaświeciły łzy; łzy te świadczyły, jak cenił on miłość swego ludu.

— Nie potrzebujesz chłopcze wędrować do Krakowa — mówił — ja znam króla, pójde do niego i opowiem mu o waszej niedoli; opowiem mu, jak bardzo go miłujecie i jak wiernie służyć chcecie.

— O! panie — zawołały dzieci, składając ręce jak do modlitwy — czyż zechcecie uczynić to dla biednych sierotek?

— Uczynię i to zaraz, dzisiaj jeszcze pójde do króla.

W tej chwili przechodziła jakaś dziewczyna z kołatką napełnioną jagodami.

— Poczekaj dziewczeczko — zawołał król, a gdy ta zatrzymała się, zapytał — czy może mu sprzedać te jagody?

— A czemużby nie, toć ich sama nie zjem.

Kazimierz sam napełnił dzbanki dzieci, a potem zdziwionej dziewczynie wsunął biały pieniądz do ręki.

— Weź to — rzekł — i pamiętaj o tem, że król opiekuje się swoim ludem!

— To król przysłał mi ten pieniądz? — zapytała dziewczyna.

— Tak — odrzekł Kazimierz, a zwracając się do dzieci, dodał — idźcie teraz do domu a jutro rano umyćcie się czysto i czekajcie.

Dzieci ucałowały kolana dobrego pana i wesoło pobiegły do domu. Późem Kazimierz zwrócił się do dziewczyny i zapytał. Czy zna te dzieci i czy wie, gdzie one mieszkają?

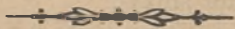
— Cobym nie miała znać; toć to sieroty po Wiślakowej, mieszkają u starej Bartłomiejki, która je ino bije a nawet pacierza nie nauczy.

Nazajutrz dworzanin królewski przybył do chałupy Bartłomiejki. Maciusia i Tereskę z rozkazu króla zabrał.

Jakież było ich zdumienie, kiedy, przyjechawszy do Łobzowa zobaczyły króla, w którym poznały owego podróżnego.

Kazimierz zaopiekował się sierotami; Maciusia umieścił w szkole przy klasztorze, a Tereskę oddał pod opiekę zacnej wdowy, która ją jak własną córkę wychowała.

W. Kwiatkowska.



SZTUCZKA ZREĆZNOŚCI

Położcie na stole równolegle do siebie pięć zapalek (bez główek), wykałaczek lub zresztą jakichkolwiek drewniaków jednakowej długości, jedno za drugim w odległości mniej więcej cala.

Pierwsze z brzegu drewnienko ujmijcie końcami wielkich palców i unieście w górę, potem końcami wskazujących palców podnieście drugie, końcami trzecich palców następne; tak, dalej aby wszystkie pięć drewnienek były jednocześnie podniesione w górę końcami pięciu palców obu rąk i żadne się nie wysunęło.

SZARADA. uł. Dzik.

Pierwsze i drugie w dawnej Rzymian mowie,
Po polsku „miejsce” natomiast się powie.
Trzecie i piąte, piękny dar nam dany
Od Boga, z żadnym innym nie zrównany.
Czwarte zaimek, którym przemawiamy
Do krewnych i tych, kogo dobrze znamy.
Wszystko rozwozi po całutkim świecie
Ludzi i rzeczy — no; już pewno wiecie?

ARYTMOGRYF.

[illegible]

Zastąpić liczby literami i utworzyć wyrazy, których rząd środkowy pionowy złoży imię króla Izraelskiego. Jednakowe liczby oznaczają jedno i też same litery.

ROZWIĄZANIA DO Nru 10-go.

Łamigłówki głoskowej: G o p ł o.

Zadania konikowego:

Jedna bieda nie dokuczy,
Jedno szczęście nie utuczy.



Skrzynka do listów.

Pani K. w Sokołowie. Logogryfów i zadań przychodzi do redakcyi od czytelników „Wieczorów” dość dużo, więc i te, które się nadają do druku, muszą czekać swojej kolei. Właśnie w dzisiejszym numerze przyszła kolej na logogryf jej synka, prosimy go jednak aby, sam do Jaskółki napisał i nie wstydził się jej bo ktoś się wstydził swych dobrych i serdecznych przyjaciół.

Wieśniaczce. (Reni L.) Nowelkę twoją p. t. „Powrócił” przeczytaliśmy z prawdziwym rozrzuwieniem i zauważyliśmy postęp w stylu, i w sposobie pisania w porównaniu z poprzedniami. Pierwsze rozdziały są wcale dobre, w dalszych jednak jest wiele nieprawdopodobieństw. Odkrycie tajemnicy ojca przez przeczytanie listu nie zgadza się ze szlachetnym charakterem bohatera a i postępowanie ojca za mało wyjaśnione. W obec tej nowelki nie możemy cię zniechęcać od dalszego probowania w wolnym czasie sił swoich; zdaje się nam, że posiadasz zawiązki zdolności pisarskich.

Grażynie. Mam nadzieję, że nim jesień przyjdzie, napiszesz nam o niej lepszy wierszyk niż ten, który teraz przysłałaś.

Czarnej i Białej Wisielce. Najgoręcej zawsze pragniemy, aby artykuły z „Wieczorów” przynosiły czytelnikom naszym pożytek i dlatego miło nam było przeczytać, że z korzystaliście z rad, umieszczonych w artykule „Jak się uczyć.”

Detynie i Caloweczce przesyłamy pozdrowienia.

Mimozie. List do Wieczora włączony do ćwiczeń bez „r.”
Sprawozdania z tych ćwiczeń obiecał dać nam do numeru święte-
cznego.

Dobre rozwiązania zadań, jako też zadania własnego układu nadęstali: Adaś Abramowicz, Liceista, 6-o letni Tadzio Szol., Karasek, Andzia Ilnicka, Feluś D., Mściwy Jastrząb, Elutka, Jacek Abramowicz, S. Sokołowski, Roma, Wanda Liedtkie, Żabka z Pawołoczy, Grażyną, Szczygieł Mszczonowski, Sokół, Czarna i Biała Wisetka.

Na przytułek św. Zofii złożyli: Zosia Sokołowska rub. 1, Haluńka Hajdukowska rub. 1, po kop. 15: Zofia Stępniewska, Marysia R., Stefcia H., Bronia Z., Celinka St., Ninka R., Felka M., razem rub. 1 kop. 5, Stokrotka i Maczek czerwony 50 kop.

Na Kolonie Letnie: Ela z nad Wisły 1 rub.

Na wpisy dla niezamożnych uczniów. J. R. 1 rub. Maryla Jaczewska z własnych oszczędności zamiast kwiatów dla mamy 2 rub.

Z powodu braku miejsca odpowiedzi *Jaskółki* muszą być odłożone do numeru następnego.

Żarcik na zakończenie

Wiatr marczy kołysze i chwieje wierzchołkami drzew.
W oknie siedzą dwie małe siostrzyczki.

— Zosiu, — pyta Anka — jak ci się zdaje, czy na morzu jest wiatr? — Ale cóż znowu, — odpowiada z powagą Zosia, — przecież na morzu drzewa nie rosną.

TEATR MARYONETEK. Chmielna 9.

**Flet zaczarowany, Gębarskiego. — Latarnia, Woda.
Kinematograf.**

Sobota i czwartek o godz. 5-tej. Niedziela o 2 przed, o 4 i 6-tej.